

## Anna Frajlich Rok 1995 – Dziennik

Czwartek, 19 stycznia 1995

Jest 13:20 – rozmowy telefoniczne od rana. Przed dziewiątą Kara Falencka<sup>1</sup> z wiadomością, że nie ma nic szczególnie oburzającego w artykule o Feli (Krance)<sup>2</sup>, pani Halinie (Rodzińskiej)<sup>3</sup> i pani Anieli (Mieczysławskiej)<sup>4</sup>. Tylko masa błędów. Potem Elżunia ze swoją mniej lub więcej typową przemową na tematy związane i nie związane. Potem Charity Scribner, moja studentka i asystentka, z którą ustaliłyśmy jej lekcję na piątek. Zaczęłam się myć i telefon (Jean Szczypien<sup>5</sup>, ale bez przedstawienia się) na temat wąsów Jacka i Stolnika w *Panu Tadeuszu*. Trzymała mnie dwadzieścia minut, chcąc zmusić do potwierdzenia, że podkreślenie wąsa jest synonimiczne z zawiązaniem węzła na wąsie i „namotaniem czegoś na wąs”, co znalazła u Kopalińskiego. Nie zgodziłam się i musiałam zakończyć rozmowę. Potem zadzwoniła studentka Dorota Błoniarz, potem Helena Scuruff w sprawie mojego wieczoru w bibliotece Columbii.

Rozmawiałam z Carol Round i definitywnie powiedziałam, że nie składam podania o grant na letni kurs polskiego. Masa roboty i nie ma dość spokoju, aby się do niej zabrać.

Czwartek, 26 stycznia 1995

Przed południem, czy też w południe, zajęcia z Danielem Magilowem<sup>6</sup>. Wieczorem mój wieczór autorski w galerii „Nowego Dziennika”. Wieczór bardzo udany. Poznałam Halinę Klein, autorkę tak świetnego omówienia moich wierszy. Były też pytania i na niektóre przysła mi potem może trafniejsza odpowiedź, podaję więc jako dodatek:

1) Na pytanie Julity (Karkowskiej) o język emigrantów i zagrożenia powołałam się na Miłosza wypowiedź w wywiadzie dla mnie (czyli dla Wolnej Europy), na moje wrażenia w zetknięciu się z emigracyjną elitą tu i w Londynie. Do dziś uważam, że Stefania Kossowska<sup>7</sup> ma bogatszy język od takiej np. Joanny Siedleckiej. Ponadto staw może wyschnąć, ale nie morze. Jeżeli ktoś wyniósł bogaty język z domu i dzieciństwa, nawet jeżeli utraci coś na emigracji, to nie będzie to najważniejsze,

<sup>1</sup> Karen Falencka (1915–2010), aktorka i wybitna działaczka społeczna.

<sup>2</sup> Felicja Krance, z d. Lilpop (1908–1993), malarka.

<sup>3</sup> Halina Rodzińska z d. Lilpop (1904–1993), działaczka społeczna szczególnie na rzecz Lasek.

<sup>4</sup> Aniela Mieczysławska, z. voto Raczyńska, z d. Lilpop (1910–1998), polska działaczka emigracyjna, pierwsza dama.

<sup>5</sup> Jean M. Szczypien, profesor literatury angielskiej, autorka książki „Sailing Towards Poland” with Joseph Conrad.

<sup>6</sup> Daniel H. Magilow, doktorant wydziału germanistyki, który zapisał się na indywidualny projekt komparatystyczny. Z kilku zaproponowanych przeze mnie opcji wybrał temat Kapuściński – Kisch.

<sup>7</sup> Stefania Kossowska (1900–2003), polska publicystka, pisarka, ostatni redaktor londyńskich „Wiadomości”.

bo ma głęboką więź, a przez to zdolność odradzania. Ja wyniosłam dużo z domu i dużo ze szkoły. Ja czuję w sobie ten język. Czuję, co tracę ze sprawności, czuję lęki, ale też wiem, że nie mam powodu do kompleksów. Może nie nadążam za slangiem, jakąś terminologią, ale to są rzeczy nieistotne, tym bardziej że nie piszę prozy obyczajowej. Zresztą te narodziła starzej się szybciej niż sam rdzeń języka.

2) Czesław Karkowski<sup>1</sup> zapytał o aluzje kulturowe i literackie (np. w wierszu *Złota gałąź*), na co naturalnie powiedziałam, że wydaje mi się, że to jemiola była tą złotą gałęzią...

Uwagi, które nasunęły się później – potrzeba zrozumienia życia, które z biegiem wydaje się coraz bardziej fantastyczne (irracjonalne, podczas kiedy dawniej wydawało się racjonalne), coraz bardziej nieprawdopodobne, zaskakujące, skłania do szukania jakichś odnośników, analogii poza własnymi doświadczeniami w kulturze i w literaturze pojętej jako literatura właściwa, ale także w legendach, analogiach.

Często powraca się do wydarzeń lub one w pamięci powracają ze względu na potrzebę ponownego ich przeżycia, zobaczenia z innych stron. I wtedy zdarza się, że nie tylko rozumie się siebie, ale to właśnie przeżycie rozświetla cudzy tekst – anegdotę, apokryf, przypowieść. Te elementy nie są ozdobą, one nagle same wrzynają się w wiersz.

3) Ewa K. wróciła do sprawy, o której mówiłam w wywiadzie dla „Nowin”, że „jeżeli Polska nie jest moim krajem, to język polski nim jest”. Ewa chciała, że-bym powiedziała, że (Polska) jest, jest, jest. Tymczasem sama konstrukcja jest taka, że nie wymaga ode mnie żadnych dodatkowych deklaracji. Ja nigdzie nie powiedziałam ani *implicite*, ani *explicitie*, że Polska nie jest moim krajem. Raczej odwrotnie, mnie zostało to powiedziane i nie do mnie należy odstukiwanie tego. Bardzo dobrze rozumie to np. ksiądz Twardowski, mówiąc „poeta jest poetą tego kraju, w którego języku pisze, witamy w pani Annie polską poetkę”. To jest podobne nieporozumienie jak z wierszem *Aklimatyzacja*.

4) Krystyna O. bardzo ładnie powiedziała o swoim stosunku do mnie – „wyrażam jej myśli o krok przed nią” i pytała o obecną sytuację. To jest istotnie trudne i wymaga przemyślenia. W naszej sytuacji nie tak wiele się zmieniło, tyle tylko, że nie możemy powiedzieć, aby obecny rząd kontynuował oficjalnie politykę reżimową. Toteż możemy sobie powiedzieć, że się zmieniło. I nie możemy być formalnie, oficjalnie ofiarami. A czasem łatwiej być ofiarą. Ale to, co się stało, i tak się stało. I to zażyło na naszym życiu. A ofiarami przestaliśmy być nie dlatego, że zmieniła się sytuacja polityczna w Polsce, ale że sami uklepaliliśmy sobie grunt, na którym stoimy.

Sytuacja się zmieniła, ale nie odwróciła.

*Piątek, 27 stycznia 1995*

Przed południem wizyta u Ojca. Siedział już w jadalni, trochę poddrzemywał oparty na rękę. Tracony lekko, spojrzał na mnie zdziwiony (zawsze):

– Ty przyszedłś? – bo ja już jestem przed śmiercią...

<sup>1</sup> Czesław Karkowski, wykładowca uniwersytecki, pisarz, dziennikarz.

– Ty już jesteś po śmierci – powiedziałam. – Myśmy Cię wyciągnęły za głowę z tamtej strony.

Potem zjadł, natarłam Mu odleżyny kremem. Trochę pochodził i potem zostawiłam Go na drugim piętrze na powitaniu Shabbatu.

Naturalnie, braknie wówczas czasu, uwagi i cierpliwości dla Mamy. Przyjmuje się jako fakt, że ponieważ jest samodzielna, nie potrzebuje tego. Od Ojca pojechałam do Macy's rozejrzeć się w sprawie prezentu dla synowej Anki.

W pociągach naturalnie najlepiej czytam, bo nie rozprasza mnie poczucie, że powinnam robić coś innego, toteż listy Dąbrowskiej w „Kulturze”, tekst bardzo dobry Woroszylskiego o Kuroniu, Smecz itp. A także „Przegląd”. Zaczynam się zastanawiać, czy B. nie wpada w klasycyzm i to taki „tysiąc wierszy o sadzeniu grochu”.

*Niedziela, 29 stycznia 1995*

Rano pranie, nieco prasowania i krzątania się. Po lunchu ogarnęło mnie takie zmęczenie, że musiałam położyć się na godzinę. Potem Władek poszedł się przejść, a ja zabrałam się za zaległości. W pierwszym rzędzie list do Alicji F.P. ze spóźnionymi życzeniami, ale także z krytyką artykułu Siedleckiej w „Pani” o siostrach „Lilpupach”, artykułu żenująco nieudolnego i z błędami. Potem list do Wojciecha Skalmowskiego<sup>1</sup>.

Zrobiłam dobry obiad, odrobinę spóźniony i w pośpiechu, a potem przygotowałam się do lekcji. Między innymi takie pytania do opowiadania Iwaszkiewicza *Światła małego miasta*:

1. Gdyby Pani/Pan miała napisać c.d. losów Wincentego, jak by się ta historia kończyła?
2. Czy Pani/Pan zna jakieś amerykańskie opowiadanie, które dałoby się z tym porównać?
3. Czy młody czytelnik amerykański może identyfikować się z tym bohaterem i w czym?

Napisałam trzy słowa do Jerzego Krzyżanowskiego, któremu umarł syn. Dwa słowa do Haliny Klein. Wieczorem rozmawiałam z Mamą.

Przeписаłam swój nowy wiersz, który jest okrutny.

*Czwartek, 2 lutego 1995*

Wczesny lunch z Rajką<sup>2</sup> i potem zajęcia z Danem Magilowem. Po tych zajęciach pojechałam do Ojca i spóźniłam się na odczyt Kapuścińskiego. Jednak słyszałam dość ciekawą większość. A przede wszystkim pytanie zadane (po polsku) przez Dana i odpowiedź.

Nie mogę ukryć, że jestem bardzo zadowolona, że poddałam mu ten temat i jeżeli Kapuściński zdobędzie jeszcze parę nagród międzynarodowych, Daniel też będzie mógł się przy tym pożywić. Co ciekawe, Kapuściński dał bardzo dobrą

<sup>1</sup> Wojciech Skalmowski, pseud. Maciej Broński, Piotr Meynert (1933–2008), językoznawca, orientalista, literaturoznawca i krytyk literacki, profesor Uniwersytetu w Louvain.

<sup>2</sup> Radmila Gorup, językoznawczyni, tłumaczka, wykładowczyni języków serbskiego, chorwackiego, bośniackiego.

definicję postmodernizmu: brak struktur hierarchicznych. Chaos, ale chaos jest strukturą dynamiczną. Stwarza sytuację do rozwoju. Otóż już króciutki wstęp do *Imperium* przywodzi na myśl tę właśnie sytuację. Przyjęcie tej reguły jako zasady integracyjnej czy integrującej sprawia, że można wszystko ze wszystkim połączyć. Dopiero tu widzę i rozumiem tę zasadę Dostojewskiego „wse pozwoleno”. A więc nie „w tym szaleństwie jest metoda”, tylko – to szaleństwo jest metodą.

*Piątek, 3 lutego 1995*

Cały dzień Władek pracował nad swoimi notatkami i ja mu pomagałam. Trochę czytałam te nieszczęsne wiersze konkursowe, które – nie wiem czemu – Borys zwalił mi na głowę. Władek uważa, że to jego (tj. Borysa) słabość do mnie.

Zrobiłam sobie, moim zdaniem, bardzo dobry kolor włosów. Trochę pomieszałam odcienie. Potem pojechaliśmy na rozdanie nagród Jurzykowskiego. Dostali Kapuściński i Głowacki. Powiedziałam Januszowi, że bardzo się cieszę, a on: „Ja też będę się cieszył, jak ty dostaniesz”.

Rozmawiałam z (Aleksandrem) Wolszczanem – okazuje się, że uczyli go i moi nauczyciele z szóstki, Nowakowa, Skolimowska (mnie nie uczyła), Ciesiul. A potem polskiego jakiś Haczek i tu jego uwaga: u niego nigdy nie można było dostać piątki.

To ciekawe, że ten światowej sławy, genialny być może astronom, wciąż ten brak piątki z polskiego pamięta jako porażkę, a w każdym razie jakiś niedostatek.

Potem na kolacji z Joanną i Blairem<sup>1</sup>.

Na Jurzykowskim był Jurek Bitter, Władek rozmawiał z nim, ja się przywitałam.

*Sobota, 4 lutego 1994*

Dziś Władek cały dzień nad swoimi papierami, a ja nad konkursem. Ale mu pomagam i godzinę przespaliśmy się.

Mieli przyjść Hupertowie (Cesia i Marek), ale śnieg rozbestwił się i ruch praktycznie zamarł.

U Pawła jakiś przeciek w mieszkaniu i Colleen pod jego nieobecność miała wiele kłopotu. Colleen wczoraj pracowała i my oboje bardzo zadowoleni.

Dzwonił Janek Kott<sup>2</sup>, aby się dowiedzieć, co było na Jurzykowskim. Ja bardzo powściągliwie, on zapatrzony w słońce swojej sławy i tych, których nazwiska wymieniamy głośniejsz lub częściej niż jego.

*Niedziela, 5 lutego 1995*

Dziś rozmowa z Heńkiem i potem wizyta Moniki i Jurka Thieme. Heniek powiedział, że będę wykonawczynią jego testamentu (mówimy o tym wzajemnie pół żartem, pół serio) i abym absolutnie nie dawała żadnych dokumentów

<sup>1</sup> Joanna Rostropowicz Clark, pisarka; Blair Clark (1917–2000), dyrektor CBS News, redaktor pisma „The Nation”, działacz społeczny.

<sup>2</sup> Jan Kott (1914–2001), wybitny literaturoznawca i teoretyk dramatu, autor znanego na całym świecie dzieła *Shakespeare, Our Contemporary*.

Agacie T. To dlatego, że ktoś recenzując jej książkę stwierdził, że pisze ona lepiej od Singera.

Heniek: Nie chcę, żeby napisali, że pisze lepiej ode mnie. Heniek twierdzi, że to wszystko, co piszą o Singerze dotyczy okresu, kiedy był on już starszy, miał pewnie sklerozę i pewne cechy i obsesje szczególnie negatywne potęgują się w takim okresie.

Powiedział na przykład gdyby opisać J.M., jak siedziała przez tydzień u mnie na łóżku.

Ja z kolei powiedziałam mu, że całą anti-„Wiadomościową” propagandę reżimową bez rewizji powtarza się w dalszym ciągu.

Monika i Jurek bardzo ładnie wyglądają, Jurek znacznie schudł. Synowie Michał po Princeton, Łukasz na Columbii.

Bardzo mnie namawiali, żeby napisać o Pastusiaku.

*Poniedziałek, 6 lutego 1995*

Poniedziałek trudny jak zwykle. Wyczerpujący. Wychodzę teraz nieco później, między jedenastą a dwunastą, ale potem mam sześciogodzinny maraton, po zakończeniu którego nie pamiętam, jaki jest dzień. Po tym wszystkim poszłam jeszcze do Yale Club na promocję książki Lucjana Dobroszyckiego *Reptile Press*. W swoim, krótkim zresztą, przemówieniu wspomniał, że najprędzej książka ta doczekała się wydania w Niemczech. Mnie to wcale nie dziwi. Psychologicznie jest to bardzo uzasadnione.

Oglądam, jak tylko mogę, wieczorami i rano sprawozdania z dwóch głośnych spraw sądowych. A właściwie na żywo zeznania świadków i ze sprawy O.J. Simpsona i ze sprawy strzelaniny w pociągu na Long Island, czyli Fergusona. Telewizja i prawnicy przez nią zatrudnieni cały czas nie ukrywają fascynacji obroną oskarżonego. Czyli w przypadku Fergusona, niewątpliwego zbrodniarza, zabójcy. A więc przy Simpsonie, czy była obrona dość delikatna wobec świadka (siostry ofiary), a przy Fergusonie, jaki on inteligentny. Zupełnie jakby trzeba było popełnić taką zbrodnię, aby doczekać się takiego uznania. Trzeba powiedzieć, że ta zasada „fair play” wobec oskarżonego przeradza się w agresję wobec ofiar żyjących czy nie. W przypadku sprawy Fergusona ma to jeszcze inny aspekt – psychologiczny. Otóż, ponieważ on sam się broni (ma przy sobie naturalnie dwóch adwokatów do pomocy), daje to jemu samemu możliwość dokładnego przeżycia tego, co zrobił. Chyba że cierpi na rozdwojenie jaźni i istotnie myśli, że to kto inny. Może nawet ten biały, który wziął jego pistolet (domniemany biały), to jego alter ego.

Świadkom natomiast daje to rzadką okazję do konfrontacji, której w innym przypadku by nie mieli. Ta konfrontacja pozwala im w ramach rytuału sądowego na wyładowanie swojej agresji. Może to będzie dla tych, co przeżyli naturalnie, najlepszą rekompensatą.

Dziś czy wczoraj, taką zupełną gwiazdą była Elizabeth Avila (nasuwa się naturalnie skojarzenia z Teresą z Ávila), której zeznanie i konfrontacja z Fergusonem miały nadzwyczaj dramatyczny wydźwięk. I był to dramat w najlepszym

wydaniu – nabrzmiały, ale powstrzymywany i to nie tylko przez sędziego, który bardzo mi imponuje, ale przez samą klasę tej kobiety. Bardzo zresztą przystojnej.

*Czwartek, 9 lutego 1995*

Rano jadę czwórką, czyli w górę Madison Ave, wszystko tam jest ciekawe – architektura, stare butiki, nowe *gourmet* sklepy ze wspaniałym pieczywem i wszelkim innym żarciem. W miarę posuwania się w górę charakter ulicy/alei zmienia się, tuż za szpitalem pojawiają się na prawo całe kompleksy bloków tzw. *projects*<sup>1</sup>. Przypadkowo dziś wnosili lodówki, a więc dziesiątki nowych lodówek przed bramą takiego „projektu”, a więc ta względnosc biedy.

Przy ulicy 110. autobus skręca w lewo, tu zazwyczaj zaczynam liczyć minuty, bo ponieważ jedzie w poprzek miasta, dłuższe są odstępy między przystankami i mniej przystawania na skrzyżowaniach. Tu więc największa szansa wygranej. Ten czas stracony na przystankach i przy wymijaniu samochodów na Madison bardzo często daje się tu nadrobić. Ale nawet w zdenerwowaniu nie zapominam, że jadę wzdłuż północnej ściany parku.

Teraz obnażony z liści pokazuje swą geologię – te różnego rodzaju skałki, miniaturowe ich łańcuchy i naturalnie jezioro, a także chiński domek i latarenki stylizowane na gazowe. Ledwie minę park, na który z autobusu patrzy się w dół, przygotowuję się na widok Katedry Św. Jana, która teraz w zimie odsłania się przy Morningside Ave. Jej tyły wspaniale rysują się nad urwiskiem, które tworzy (inny) park.

*Piątek, 10 lutego 1995*

Pranie, rozmowa z Zaremą (Bau)<sup>2</sup> – szalenie zmartwiła mnie wiadomością o stanie Ewy K. Skończyłam raport z konkursu dla Borysa. Wściekła na siebie, że to robię.

Po południu zebranie PEN-Clubu, a o 6:30 odczyt bardzo piękny Piotra Chełkowskiego w Nur Foundation przy Riverside Drive. Polskie środowisko w ogóle nie zdaje sobie sprawy, jak jest On szanowany w środowisku inteligencji irańskiej i amerykańskiej.

Był tam jeden bardzo wysoki i interesujący Afroamerykanin, który trochę jakby mówił po polsku, może miał żonę (zdaje się) Polkę.

*Sobota, 11 lutego 1995*

Wieczorem u Cathy Popkin<sup>3</sup> na eleganckiej kolacji na cześć książki Maguire'a o Gogolu<sup>4</sup>.

Pierwsza w nocy. Przepisuję wiersz, który niedawno przeczytałam Linie<sup>5</sup>.

<sup>1</sup> Osiedla dla ubogiej ludności miasta.

<sup>2</sup> Zarema Lebiecz Bau (1913–2008), wieloletnia pracownica Instytutu Piłsudskiego i Polskiego Instytutu Naukowego.

<sup>3</sup> Cathy Popkin, profesor literatury rosyjskiej Columbia University.

<sup>4</sup> Robert Maguire, *Exploring Gogol*. R. Maguire (1930–2005), wybitny sławista amerykański, profesor Uniwersytetu Columbia, tłumacz Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, Anny Świrszczyńskiej na angielski.

<sup>5</sup> Lina Wejgsmann (1937–2016), spikerka Polskiego Radia Szczecin, na emigracji w Vancouver.

*Rzeka*

Piękna jest ta rzeka  
 ta sama  
 połyskują w blasku słońca jej wody  
 ale ciała już w niej nie zanurzę  
 po raz drugi wejść w nią nie mogę  
 moja skóra jej chłód wciąż czuje  
 gładki kamień i żwir pod nogą  
 ona sama przeze mnie przepływa  
 tylko ja wejść do niej nie mogę  
 jej dwa nurty – mistyczne wstęgi  
 w krajobrazie srebrem się mieniają  
 jeden – gorzka woda pamięci  
 drugi – cierpki smak zapomnienia.

*Niedziela, 12 lutego 1995*

Wciąż nowe myśli o tym, czego chce ode mnie Ewa K., żeby wróciła do swego scalenia z Polską takiego, jakie ono było „przed upadkiem”. „Upadkiem” czym? Oto te myśli: człowiek tak zraniony musi odbudować swoją integralność, a nie może tego zrobić, cały czas odsłaniając swoje najczulsze miejsca. Swoje blizny machinalnie zasłaniaamy, nie robimy z nich tarczy.

Tutaj przypomina mi się stwierdzenie Rudnickiego: „Uważam się zawsze przede wszystkim za Polaka, reszta to moje zawile sprawy. Że Polska uważa inaczej, są to niestety jej zawile sprawy”.

Niestety czasem zawile sprawy wymagają rozwikłania. Ja uważam się przede wszystkim za człowieka, człowieka, który ceni godność innych, ale wymaga od innych tego samego.

Tak, ja dobrze pamiętam potrzebę nadstawienia drugiego policzka, ale w imię prawdy, a nie w imię odurzania siebie samego.

I podobne sformułowanie refleksji: raz zmuszona do wprowadzenia korekty w swoim samookreśleniu nie postawię się nigdy w takiej sytuacji powtórnie. Blizna zawsze pozostaje blizną. Goi się, ale nie znika. Nie boli, ale przeciwnie – pozostaje bez czucia, jakby to miejsce broniło się przed ponownym bólem, przynajmniej w tym samym miejscu.

Z Mamą i Felą na *bridal shower*, który Anka Prekker zorganizowała dla swej przyszłej synowej.

*Wtorek, 21 lutego 1995*

Koniugacja: ja płacę, ty płaczesz, ona płacze, my płaczymy, wy płaczecie, oni płacą.

Lepsze niż to, co ja proponuję:

płacę i płacę.

To takie trudne, tam, gdzie ja widzę uporządkowanie, bo tu -ę, -esz, a tam -ę, -isz, oni widzą chaos z cieniutką kładką zawieszoną nad przepaścią.

Niedziela, 26 lutego, 1995

O jedenastej telefon od Tymka<sup>1</sup>, jak zawsze bardzo ciekawy i jak zawsze pozostawiający, powodujący rozpaczliwy ból bezwyjściowości. On sam mówi, że w Moskwie w metrze najbardziej fascynowały go napisy: „wychoda niet” i „niet wychoda”. Ale nie jego rosyjskich kolegów. Tu wtrąciłam, że oni wrzuceni od zawsze w sytuację – „wychoda niet”. Tymek (to tu dodaję) narzuca sobie swoją moralną perfekcyjnością sytuację bezwyjściową.

Podał mi nazwisko redaktora Wydawnictwa Dolnośląskiego – Jana Stolarczyka.

Sam pracował dwa miesiące nad esejem o książce – autobiografii Giedroycia. Czytał parę dzieł historycznych i historię myśli politycznej. Uważa, że Giedroyc nie ma prawa zamknąć „Kultury”, bo pismo jest też tworem współpracowników. Tu się z nim nie zgadzam. Ta decyzja Giedroycia bardzo mi imponuje. Jest krańcowym wyrazem jego integralności i wyzwaniem: teraz wy pokażcie, co umiecie. Jest decyzją niemal poetycką, jak w *Testamencie...* Słowackiego lub w wierszu Broniewskiego *Rimbaud*. Już sobie wyobrażam tych wszystkich facetów, którzy zaczęliby sobie „Kulturę” wyrywać.

Teraz Tymek zaczyna robić swój wybór. Pomysł ma wspaniały, ale potrzebuje na to paru wolnych półek. I tylko ten, kto widział jego pokój z ruchomymi regałami, może zrozumieć, o co chodzi. To ten demiurgizm.

Tu nie chodzi o chronologiczny wybór. Powtarzam, co zdołałam dobrze zapamiętać i parę słów zapisać. Tu chodzi o to, żeby wszystko było w jego życiu tą jedną książką. Chce on „de-strukturalizować w tym paralelizmie” cały swój dorobek, żeby wiersze polemizowały ze sobą, żeby między nimi zaistniał dialog. Mówi: „Trzeba słuchać jak wielkiej symfonii, skąd zebrać parę taktów, żeby pasowały do tamtego układu”.

Tymczasem wstaje codziennie o czwartej, o szóstej ma już przygotowane jedzenie dla Maryli. Jabłko dusi się półtorej godziny, żeby ona mogła wytrzymać tę trasę do pracy, ciężką harówkę i to życie. On sam ma 12 tysięcy emerytury. Ona teraz lepiej zarabia. Ale kiedy proszę go, żeby ją uściskał, nie chce nawet obiecać.

W konferencji nie może wziąć udziału. Wittlin, choć on mnie na zorganizowanie tej konferencji namówił, nie jest mu bliski. Natomiast zasugerował mi Ewę Thompson i postanowiłam do niej napisać.

Będę też starała się dotrzeć do LOT-u *via* Alina Magnuska i Andrzej Jaroszyński. Tymek Karpowicz postarał się, aby uczestnicy (jego konferencji?) dostali \$100.00 dziennie.

Czwartek, 2 marca 1995

Czwartek, kiedy jadę do Brooklynu, do Ojca, ma w sobie wiele ciekawych elementów. Zaczynam w południe, jadąc północną ścianą parku. Widzę te moje ulubione skałki, wodę, potem park przy katedrze i katedrę – piękny widok od tyłu nad skarpą. Po paru godzinach na Columbii wsiadam w pociąg i do Brooklynu. Gdzieś koło piątej mijam przystanek West 8<sup>th</sup> Street i stamtąd wspaniały widok na brzeg

<sup>1</sup> Tymoteusz Karpowicz (1921–2005), wybitny poeta polski, profesor literatury polskiej.



oceanu. Pusta plaża, piasek, niebo i nieskończoność. Nawet te okropne karuzele przestały mi przeszkadzać. Zaczynam doceniać ich jarmarczny wdzięk. Ale to, że widzę ocean z tej perspektywy, wyniesionej, bo tam pociąg jedzie górą na słupach – do tego nie mogę się przyzwyczaić. To mnie zawsze zaskakuje. To, że ten ocean wpisany jest w taką codzienność.

Ojciec był w nastroju elegijnym. Myśłami przy wojnie i zagładzie. Mówi tam (opowiadała mi pielęgniarka), że cała rodzina nie żyje. Ona to zrozumiała jako aluzję do nas, ale on mówił o wojnie. Po obiedzie podprowadziłam go do kobiety, która żyje w zupełnie innym świecie, ale mówi tymi samymi językami, co Ojciec. Więc Ojciec opowiada jej tę całą historię: 6 milionów Żydów wymordowali...

A ona: Co pan mówi, tutaj też? Nie wiedziałam.

Spytałam ją, jak się nazywa.

– Światło – odpowiedziała.

– A na imię?

– Pola.

Ciekawe, czy to jakaś krewna p. Stankiewicz, żony Światły, której to właśnie nazwisko (Światło) było panięńskim nazwiskiem. Światło je przejął.

*Niedziela, 5 marca 1995*

Już wczoraj przy lekturze *Wartime lies* Begleya przyszedł mi do głowy przewrotny pomysł, a mianowicie, że jest to (zamierzony/niezamierzony/połowiczny) plagiat z Heńka. Pod względem literackim Heńka książki są zdecydowanie lepsze. Na tę myśl wprowadziło mnie to, że Begley pisze o jakiejś sąsiadce, ukrywającej się Żydówce z synem Henrykiem. Uderzyło mnie to jako kryptocytat. I fakt, że tamci znikli ze sceny, jako triumf Begleya nad Heńkiem. Begley rzeczywiście odniósł wielki sukces zarówno literacki, jak i komercyjny. Pierwsza książka – bestseller, a on obecnie jest prezesem amerykańskiego PEN-Clubu i mam już jego telefon i spotkam się z nim zapewne w sprawie konferencji Wittlinowskiej.

Oczywiście, może to być produkt mojej wyobraźni, ten zarzut plagiatu.

Ale książka Begleya, so far, nie robi na mnie tak wielkiego wrażenia literacko. Jeszcze jej nie skończyłam. Za to bardzo dużo myślę o „Maus” Spiegelmana. To zadziwiające, ile można wyrazić przez takie medium. I tu nasuwa się myśl, że nieistotny jest rodzaj, czy gatunek tylko, kto się nim posłużył. Kaligraf pędzla nie szuka, gdy sztukę posiada. Prawdziwy artysta potrafi wyrazić wszystko w swoim medium. Nawet jeżeli jest to historyjka obrazkowa.

Przez to, że Spiegelman pokazał swego ojca, czyli swego bohatera i w młodości, i w wieku wszystkich starczycy dziwactw, z chorobliwym skąpstwem włącznie, to już świadczy o jego wynalazczości. W gatunku, który bazuje na schematach, on przeciwstawia się schematowi. Ponadto wychodzi poza schemat, że ofiara jest/musi być szlachetna przez to, że jest ofiarą. Co dalej prowadzi do wniosku, że nie wolno zabijać nie dlatego, że ktoś jest dobry, szlachetny, mądry, ale dlatego, że jest człowiekiem. Czyli powrót do boskiego przykazania. Nakazu elementarnego.

Jego wybór zwierząt też wychodzi poza ezopową metodę. Mysz, która wciska się w każdą dziurę, aby przeżyć, reprezentuje nie tylko „mysz versus kot” relację,

ale także instynkt życiowy, który jest zwierzęcy. Duszy jako istności wiecznej jest przecież wszystko jedno. To zwierzę w nas ucieka od niebezpieczeństwa. Może nawet jeszcze niższy stwór niż mysz, może nawet karaluch. I naturalnie zwierzę w nas zabija.

Wizyta u Basi i Bartka<sup>1</sup> Małysów w New Jersey.

*Piątek, 10 marca 1995*

Wczoraj Daniel Magilow pokazał mi w Deutsches Haus bibliotekę, której książki nie figurują w żadnym katalogu. On przypadkiem natknął się tam na *Sensation fair* Kischy i poszliśmy tam, abym tę książkę wzięła. W książce znalazłam wycinki z gazet z 1942 i 1943 roku. Znaczyłoby to, że od przeszło pięćdziesięciu lat nikt tej książki nie wyciągał. W jednym wycinku taka mniej więcej czyjaś refleksja, że zebrania komunistów i faszystów tak były w latach 30-tych do siebie podobne, że trzeba było czekać do końca i zobaczyć, czy wyciągną dłoń zaciśniętą, czy otwartą, aby zorientować się, czyje to zebranie.

W *Lapidarium* Kapuścińskiego jest taka notatka: „W liście do NYT 15.3. Sol Gittleman wymienia kto sympatyzował z Hitlerem: M. Heidegger, C.J. Jung, Ezra Pound, T.S. Eliot, W.B. Yeats, Luis-Ferdinand Céline” (s. 202).

W artykule Leszka Kołakowskiego *Antysemita – pięć tez nienowych i przestroga*, na który natknęłam się, przeglądając stare „Po prostu” i czytając wybór artykułów z „Po prostu” pod red. Jerzego Urbana, jest takie zdanie: „Że wśród ludzi pochodzących ze środowisk żydowskich i wyemancypowanych z zabobonów mozaizmu byli twórcy kultury nowoczesnej – Spinoza, Heine, Marks, Einstein, Ehrlich, Picasso, a także geniusze wielkich błędów – Freud, Bergson, Husserl? Dla antysemity to tylko argument, żeby znienawidzić te nazwiska”. To prawda, ale pisząc to, Kołakowski staje się „geniuszem” (a przynajmniej głosiicielem) podwójnego błędu nazywając mozaizm zabobonem, a po wtóre dzieląc (dzieli i rządzi) wg marksowskiego rozdzielnika.

*Sobota, 11 marca 1995*

Róże, które dostałam wczoraj od Władka, pięknie się rozwijają. Tym razem wrzuciłam całą zawartość torebki z odżywczymi minerałami. Są trzy czerwone, dwie herbaciane i jedna żółta. Władek powiedział wczoraj, że przyjemnie jest dla mnie kupować, bo umiem się cieszyć. A dziś, gdy znów mówiliśmy o radości, jaką nam te róże sprawiają, powiedział: dobrze, że umiemy się cieszyć małymi rzeczami.

W *Lapidarium* Kapuścińskiego, którego amerykańskie fragmenty czytałam w związku z nadzorowaniem pracy Daniela M., jest fragment o rozmowie autora z Maciejem Wierzyńskim na temat owych 15 minut sławy.

To fakt, że każdy marzy o tym, chce tego, itp., ale prawdziwy sukces osiąga się wtedy, gdy nie żyje się dla tych piętnastu minut i nie żyje się od jednych piętnastu do drugich. W pewnej mierze zrozumiałam to wiele lat temu, kiedy byłam

<sup>1</sup> Bartek Małysa (1947–2012), znakomity artysta, grafik.

chora, wszyscy bawili się na przyjęciu u Edka. Miałam przygotowane ubranie i „oczyszczenie duszy” widziałam się na tym przyjęciu, i nagle złożyło mnie. Oni wówczas do mnie zadzwonili stamtąd, chyba Angela i rozmawiając z nimi lub zaraz po rozmowie zrozumiałam, że moje życie jest tam, gdzie ja jestem, a nie tam, gdzie mogłabym być. Uświadomienie sobie tej sprawy bardzo pomogło mi, uwolniło od zupełnie zbędnych napięć i chyba towarzyszyło mi pozytywnie w wieloletnim wspinaniu się moją własną ścieżką.

*Piątek, 31 marca 1995*

Praktycznie sfinalizowałam wszystkie dokumenty związane z tym etapem przygotowywania konferencji Wittlinowskiej. Budżet, program i uzasadnienie. Wiem, że lepszy jest mój list do Segela<sup>1</sup>, jak zwykle lepsza jestem w polemice, niż sam *proposal*. Ale w końcu i *proposal* jest niezły.

*Poniedziałek, 3 kwietnia 1995*

Wychodzę już o dziesiątej i zanoszę podanie do Fundacji. Tam bardzo miła i pożyteczna rozmowa z p. Marylą Janiak. Potem autobusem (rozpatrywałam inne opcje) do pracy. Na naszym wydziale Ellen Scaruffi. Rozmawiamy o archiwach. Mówię, że Maria Curie Skłodowska „zamknęła” swe listy do męża aż do 1990 r. i właśnie teraz wyszła jej nowa biografia. A dziś mówię – ludzie piszą list miłosny i kopię posyłają do redakcji. Ellen mówi, że Butler jeden z dawnych/histerycznych rektorów Columbii zostawił masę materiałów w archiwach. Teraz ktoś pracuje nad jego biografią, ale wśród dwustu pudeł ani jednego osobistego papierka. Wiadomo, że miał kontakty z Mussolinim, nawet Hitlerem, ale nie ma na to żadnych dowodów. Nic przypadkowego nie oddał do archiwum. Wszystko bardzo przeczesane.

*Wtorek, 4 kwietnia 1995*

Dziś poszłam po Julitę do szpitala. Miała biopsję i musi czekać jeszcze tydzień na wiadomość. Bardzo była znękana i bardzo mi jej żal. Podpisałam razem z nią wypis jako „*significant other*”. To mnie wzruszyło.

Przypomniałam sobie, jak opowiadała mi Renata kiedyś, że była w szpitalu i nie miał kto podpisać, żeby ją wypuścili.

*Wtorek, 18 kwietnia 1995*

Kilka godzin u Julity w szpitalu. Nad ranem rozmowa z Cecylią Judek (Szczecin), z matką Urszuli Benki (Wrocław), z p. Agnieszką Kosińską z Krakowskiego Stowarzyszenia Pisarzy.

W szpitalu z Joanną Krancową obgadałyśmy Heńka, Marka Nowakowskiego i nieco Mrożka. Potem przyszedł Czesiek. Ucieszyło mnie to, że był Julitą przejęty, szczerze zainteresowany. To mnie uspokoiło. W domu tysiące telefonów, m.in. od Joanny (Clark) i Heńka. Opowiadam Heńkowi to, co powiedziała mi Joanna (Kranc) z książki o Papieżu, że w Wadowicach był bramkarzem w żydowskiej

<sup>1</sup> Prof. Harold Segel (1930–2016) z Columbii był przeciwny tej konferencji i starał się różnymi sposobami zablokować jej organizację.

drużynie, jak grali Żydzi i Polacy. Na co Heniek, tak był bramkarzem i pozwalał, żeby im gole wbijali. I do dziś to robi, dekorując Waldheima.

– Ty antysemito! – krzyczę.

W nocy piszę kartki do Róży Król do Szczecina, prof. Kulczyckiej-Saloni<sup>1</sup>, Barbary K(?), Alicji Filochowskiej, Haliny Kuczyńskiej, Belli Szwarcman. Kartkę do Haliny Klein z podziękowaniem za jej piękny tekst o miasteczku.

Jest 1:10 w nocy. Zaraz napiszę fax do Aliny Głowackiej i może do red. Mamonia.

Czwartek, 18 maja 1995

Wrocław, *Wrocławski Informator Kulturalny*, Maj 1995

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Klub Związków Twórczych (Czarny Salon) Rynek-Ratusz 24, g. 18:00.

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich i Redakcja „Formatu Literackiego” rozpoczynają nowy cykl spotkań autorskich prowadzonych przez Urszulę M. Benkę. Inaugurującym gościem jest Anna Frajlich.

[...] Obecnie jest jedną z ciekawszych osobowości emigracyjnej poezji. [...]

Poezja ta od samego początku aż do chwili obecnej imponuje dystansem, elegancją i delikatną wrażliwością mistyczną, czerpie niewątpliwie z metaforyki biblijnej. Obecny tomik *Jeszcze w drodze* jest zaledwie drugim, jaki A. Frajlich wydała w Polsce (po *Ogrodem i ogrodzeniem*, Czytelnik 1993). W 1980 r. otrzymała nagrodę im. Kościelskich. [...]

Pod zdjęciem cytowany wiersz *Wiedza ezoteryczna*.

Poniedziałek, 28 maja 1995

Warszawa, Spotkanie autorskie w warszawskim klubie TSKŻ.

W Dwutygodniku Społeczno-Kulturalnym „Słowo Żydowskie” (16–30 czerwca 1995) na str. 36 ukazała się notatka „Poetka i piosenkarz w warszawskim klubie TSKŻ”. Piosenkarz, o którym mowa, to Jerzy Połomski, gwiazda moich lat młodzieńczych.

Poniedziałek-środa, 29–31 maja 1995

Kraków. Wizyta w redakcji „Tygodnika Powszechnego”

Prezentacja tomu *Jeszcze w drodze* ze wstępem Mateusza Wernera w lokalu SPP przy ulicy Kanoniczej 7.

Czwartek, 1 czerwca 1995

„Gazeta Wyborcza” („Gazeta Stołeczna”, *Kultura*, str. 6)

Spotkanie z poetką. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich zaprasza na spotkanie z poetką z Nowego Jorku Anną Frajlich-Zajac, które odbędzie się dziś w Domu Literatury (Krakowskie Przedmieście 87/89) o godz. 17.

W „Rzeczpospolitej” (126(4079)) 1 czerwca 1995.

Artykuł Elżbiety Sawickiej: *Anna Frajlich w Polsce. Nie wyzbyłam się Europy*.

<sup>1</sup> Janina Kulczycka-Saloni (1912–1998), prof. Uniwersytetu Warszawskiego, historyk literatury polskiej, komparatystka, badaczka epoki pozytywizmu.

*Sobota, 10 czerwca 1995*

Po południu przewodniczyłam sesji *Polish Literature and Culture*. Bardzo udana sesja, chociaż niezwykle eklektyczna, powiedziałabym: H.Ch. Trepte ze świetnym referatem o percepcji polskiej literatury w Niemczech, Joanna Radwańska-Williams o pracy nad metodami nauczania języka polskiego. W gruncie rzeczy mówiła o nowych organizacjach, Tadeusz Chabrowski, którego nazwisko zablokowało mi się w trakcie przedstawiania, czytał po prostu swoje wiersze. Pytała mnie jedna kobieta, dlaczego ja swoich nie czytałam. Nie przyszło mi do głowy, że coś takiego można zrobić.

W domu już czekała Basia Verdiani. Co za spotkanie po tylu latach! We Włoszech jest tłumaczką i to z dość imponującym dorobkiem, ale ciężką depresją zapłaciła za to wszystko. Luigi robi doktorat z matematyki.

*Niedziela, 11 czerwca 1995*

Rozmowa z Tymoteuszem Karpowiczem: zapytany o *Zimową podróż* Barańczaka powiedział, że „kładce podarował skok”. Kładką ową jest muzyka i tekst innego poety, będąca inspiracją. Powiedział coś jeszcze bardzo poetyckiego, ale zapomniałam. Okazuje się, że był w domu Faulknera, spał w jego łóżku i chodził w jego marynarce. Tu powiedziałam, że jednak kiedyś zrobię z nim wywiad. O życiu, nie o wierszach.

Powiedział też, że moje rymy są tak jak u Leśmiana, organizacją świata.

Jest jednocześnie pustelnikiem i społecznikiem. To pewno jedna z tych rozrywających sprzeczności, które przeszkadzają mu w twórczości, bo doprowadzone są do absurdu. Różne babcie z sąsiedztwa przynoszą mu rośliny do uzdrowienia, bo uważany jest za takiego roślinnego szamana. A mówi ... chciałoby się to wszystko spisywać. Tymczasem on nie ma czasu na zorganizowanie tomu, chce ze wszystkiego zrobić „Odwrócone światło”, a ja nie mogę mu powiedzieć, że jest ono za bardzo odwrócone od nawet najbardziej wytrawnego czytelnika. Zresztą czytelnik nie jest jego celem. Cel jest ponad czytelnikiem.

*Niedziela, 25 czerwca 1995*

Rano z Władkiem do Brooklynu, tam podbieramy Felę i Mamę i jedziemy na cmentarz do New Jersey, na odsłonięcie pomnika pani Idy Hindes, matki Anki Prekker. Anka na kamieniu umieściła napis pamięci swego ojca – Szmula Frenkla. Ojca, którego nie znała, który zginął nie wiadomo gdzie i jak, i dopiero na tym miejscu pięćdziesiąt lat potem znalazł przytulisko dla pamięci.

Myślałam o ojczymie Anki, bardzo miłym panu Hindesie, który pochowany jest we Włoszech. Tam musieli czekać aż umrze, bo był chory na raka i Amerykanie naturalnie nie dawali wiz osobom chorym.

Teraz tego nie stosują, przynajmniej nie do Żydów z Rosji. Zresztą, kto wie.

Po uroczystości i szybkiej wymianie paru zdań, pojechaliśmy na uroczyste rodzinne otwarcie „decku”, czyli tarasu Pawła. Rzeczywiście, wspaniale to zrobione, Paweł jest świetnym gospodarzem, zresztą oni oboje. Colleen bardzo dobrze ułożona z dużą klasą. Oby tylko wszystko układało się szczęśliwie.

Poniedziałek, 26 czerwca 1995

W nowej „Kulturze” fragment powieści Antoniego Libery *Komu bije dzwon* w podwójnym niejako cudzysłowie. Temat bardzo ciekawy i od strony politycznej, historycznej i psychologicznej. Szkoda, że nie napisał tego w formie głębszego eseju. A jest to temat ukąszenia, nie heglowskiego, a w każdym razie nie ewidentnie heglowskiego. On nawet sugeruje, że to takie bardziej Conradowskie ukąszenie – imperatyw moralny, ale to zakończenie tak dziwne, co autor czy też narrator, podkreśla – ten powrót w paszczę lwa. I tu właśnie widzę, że w eseju można byłoby więcej i głębiej się nad tym zastanowić, bo z całą pewnością istnieje wytłumaczenie, nawet jeżeli nie zanadto racjonalne. Albo prosi się tu technika jakaś post-modernistyczna z odtworzeniem tego „szarorytu” (kolorytu) lat pięćdziesiątych.

Poniedziałek, 3 lipca 1995

Rano, a raczej w dzień u Ojca. Podróż tam i z powrotem i blisko trzy godziny tam zajęły mi cały dzień. W pociągu trochę czytałam i właśnie tam przeczytałam recenzję *The Postman*, włoskiego filmu w reżyserii Brytyjczyka Michaela Radforda. W roli głównej Massimo Troisi, aktor, który zmarł dwa dni po zakończeniu zdjęć. Odłożył operację (transplant) do skończenia filmu. Rozumiał zapewne, że ten film to dzieło jego życia. Z konieczności wszystkie sceny w ruchu grane są przez statystę i z konieczności ujęty jest on z tyłu. Dało to doskonały efekt artystyczny, te jazdy na rowerze filmowane z tyłu, a potem zbliżenie twarzy. Jedno tylko zadziwiające – apologia komunizmu. Tak szybko. Ciekawe, czy można byłoby zrobić taki film o Ezra Poundzie, który też był we Włoszech, z apologią faszyzmu. To byłoby nie do pomyślenia. Pomyślałam też, że jest tam może to zestawienie z jednej strony komunizmu, z drugiej – tego zimnego braku zainteresowania człowiekiem u Nerudy. Może to miałyby stanowić balans. Ale wątplię. Natomiast jest ten komunizm doskonale zrównoważony katolicyzmem i łagodnie wysmiewany.

Potem ze Staszkiem i Alą w kawiarni na ulicy na Broadwayu. Ale siedząc tam, byliśmy świadkami *hit and run*, co było straszne. I tu Staszek mówił, jak zmieniły się warunki, w których takiemu człowiekowi trudno udzielić pomocy, jeżeli jest się bez rękawiczek.

Wtorek, 4 lipca 1995

Prawie cały dzień lektura książki Mai<sup>1</sup>, a wieczorem wyszliśmy popatrzeć na sztuczne ognie nad rzeką. Zawsze myślę o Norwidzie w takich wypadkach i o pierścieniu. Przecież jest to odwieczny rytuał według Frazera, obecny na każdym etapie. Są podobno dwie teorie – jedna „słoneczna” i druga „oczyszczająca”. Według pierwszej wszelkie „ognie” mają być symbolem słońca i wzrostu, według drugiej – symbolem oczyszczenia przez ogień.

<sup>1</sup> Maja Elżbieta Cybulska, *W moich oczach*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1995.

*Niedziela, 9 lipca 1995*

Ledwie zabrałam się do pracy, telefon od Dorothy, Mamy sąsiadki, że Mama w dreszczach i ledwo stoi. Pojechaliśmy z Władkiem i pobyliśmy aż do jedenastej wieczorem, kiedy gorączka już spadła.

Ale w nocy miałam jednak wyrzuty sumienia i śniło mi się, że ktoś zadzwonił, Władek odebrał telefon i mówi: twój ojciec nie żyje.

Władek miał zły sen związany z pracą. Jest wciąż na „jury duty” i śniło mu się, że przyszedł, a na jego miejscu ni mniej, ni więcej tylko Afroamerykanin. Ciekawy sen, bo w jego branży prawie nie ma inżynierów Afroamerykanów. To pewnie po tym siedzeniu w sądzie, a także na skutek tych dyskusji w PBS-ie o równym starcie.

*Poniedziałek, 10 lipca 1995*

Rano u dentysty, a potem pojechałam do Mamy. Miała już przez Felę zamówioną wizytę u lekarza, ale w poczekalni siedziałyśmy 3 godziny. Zamiast ona w łóżku. Trochę przy tym nerwów, lekarz był inny, nie Patel, toteż trwało to dłużej. On podobno jest wolniejszy. Ale z humorem i Mama też się rozjaśniła. Ona zawsze u lekarza się rozjaśnia.

O szóstej wracając do domu spotkałam Felę, która szła do Mamy. Wieczorem usiadłam i do drugiej ślęczałam przed komputerem „robiąc” Iwanowa. Zaczęłam, parę stron zaledwie. To druga tura poprawek, które nanoszę.

*Wtorek, 11 lipca 1995*

Po fryzjerze poleciałam do Central Parku, żeby zdobyć bilety na *Burzę* z udziałem Patricka Stewarta. Niestety, kiedy przyszedłam, kolejka była „jak stąd do wieczności”. Ale właśnie zakręcała koło pomnika Jagiełły i właśnie pierwszy raz zobaczyłam ten pomnik. Najpierw cokol z różowego marmuru i napis „Poland” i już wiedziałam, że to musi być Jagiełło. Naturalnie, biletów nie dostałam i wieczorem poszliśmy z Colleen do kina na *First Knight*. Wygląda na to, że Hollywood chce propagować „age of innocence”. Film nie dorównuje tematem naturalnie, Scorsese był doskonały, jest popularny, więc może przemówi do większej liczby, do tych mas dzieciaków, które zupełnie nie znają słów „honor, niewinność, lady” i paru innych z tego repertuaru.

Kiedy trochę z przymrużeniem oka patrzyliśmy na bitwy, powiedziałam do Władka, że król Artur tak dowodzi jak Jagiełło. Pewnie pomogło, że widziałam w parku pomnik.

W biurze spotkałam Petera Kussi, był w Pradze, spotkał wielu pisarzy, swoich studentów... ale największe wrażenie zrobiło na nim to, że kobieta w jego wieku ustąpiła mu miejsca w tramwaju. Ponadto okradli go.

*Środa, 12 lipca 1995*

Dziś cały dzień nad Iwanowem. Wychodzi mi to już uszami, a jednak zmuszam się. Źmudne te poprawki, szczególnie nawiasy, cudzysłowy, tłumaczenia drobnych cytatów. A najbardziej frustruje fakt, że to jeszcze nie koniec, jeszcze trzeba

dodać sylwetki każdego poety, jeszcze raz przejechać się po wszystkich przypisach, jeszcze raz to i tamto. I kto wie, czy ktoś to zechce wydrukować.

Otrzymałam kopię listu (rekomendacyjnego) Jerzego Krzywickiego<sup>1</sup> w sprawie konferencji<sup>2</sup>. Profesor Madelaine G. Levine zgadza się zrobić coś o prof. Weintraubie, co cieszy. Ale zbiera się góra listów do odpisania już w sprawie konferencji, a jeszcze nie napisałam do wszystkich w Polsce.

Rozmawiałam dziś z Angelą, Zaremą (wieczorem). Mamę bardzo drażniam. Drażnimy się nawzajem, kto wie czemu.

*Piątek, 14 lipca 1995*

Wizyta u Ojca, potem u Mamy. Upał niesłychany i wilgotność powietrza duża, ale jakoś to zaliczyłam bez specjalnych trudności.

Korespondencja: karnet do Haliny Filipowicz, Hanny Gizy, kartki do Daniki Chudzianki, Bernarda Kozłowskiego, Tadeusza Żółcińskiego, Ludmiły Marjańskiej.

*Środa, 19 lipca 1995*

Nie robiłam tego dotychczas, ale teraz zrobię, zresztą idąc śladem znakomitych, którzy nie wstydzą się prowadzić swej własnej rubryki: o nas/mnie pisali.

Zatem o *Rozmyślaniach przy klimakterium* Halina Klein napisała do mnie: „Wiersz o klimakterium jest jak cieniutka igła wbijana w moją delikatną skórę”.

Prof. Halina Filipowicz: „Wiersz *Rozmyślania przy klimakterium* znakomity! Gdybym uprawiała poetykę normatywną, wykrzyknęłabym: tak powinny pisać tutejsze feministki, które dały się zamknąć w pułapce biologii. A Pani tę pułapkę otwiera na perspektywę – tak bym to roboczo nazwała – historiozoficzną”.<sup>3</sup>

*Niedziela, 23 lipca 1995*

Pierwsza połowa dnia na zaręczynach Adama. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że ten łajdak, jego ojciec, uznał za stosowne uprzeć się i przyprowadzić tego swego wycierucha. Było to ciężkie dla Feli, która jednak zachowała się z gracją i jej toast bardzo ładnie wypadł. Bardzo jednak to bolesne i jak zawsze bezwzględność i łajdactwo wygrywają. Mam nadzieję, że Pan Bóg sobie to zapamięta i przypomni w najgorszej dla łajdaka godzinie.

Po lunchu pojechaliśmy do Port Jefferson do sklepu, w którym sprzedają wszelkiego rodzaju naczynia i dokupiliśmy, co było, do naszego wciąż kompletującego się serwisu „Royal Mail”. W drodze powrotnej dzika burza złapała nas już w mieście, a podobno tam na Long Island było tornado.

Natomiast ten kawałek Port Jefferson tuż nad brzegiem oceanu przeuroczy. Restauracje z widokiem na wodę, zresztą w jednej byliśmy kiedyś z Kottem i Puzyną<sup>3</sup>. Czasy tak odległe, że wydawałoby się, że nie istniały.

<sup>1</sup> Jerzy Krzywicki (1917–2005), historyk filozofii, profesor, tłumacz, kierownik Polskiej Sekcji Radia Wolna Europa.

<sup>2</sup> Mowa o organizowanej przeze mnie konferencji poświęconej twórczości Józefa Wittlina.

<sup>3</sup> Konstanty Puzyna (1929–1989), polski teatrolog, edytor, eseista, publicysta, poeta.



*Poniedziałek, 24 lipca 1995*

Jeszcze ciągle posmak wczorajszego. Tamten nie ma żadnego zmysłu przyzwoitości, a Adam? Jest naturalne pytanie, kto w takiej sytuacji ma charakter.

Większość dnia przy komputerze – Wołoszyn.

Wieczorem zaczęłam czytać książkę Piotra Matywieckiego, którą nam podarował ostatniego dnia w Warszawie. Poprzedniej nocy spotkaliśmy się w radiu na audycji Hanny Gizy i umówiliśmy się nazajutrz w kawiarni Literackiej, gdzie byłam już umówiona z Alicją Patey-Grabowską o 3:50, bo obiady literackie kończą się o 4:00. Matywiecki był mile zdziwiony naszą punktualnością. Napisał piękną dedykację: „Pani Annie i Panu Władkowi – w milczeniu / które ta książka łamie / i z przyjaźnią losu (wiecie jakiego)...”.

Kiedy spotkałam go po raz pierwszy w Stowarzyszeniu na zebraniu zorganizowanym przez Julię Hartwig, powiedział o tym, że nie zdecydował się na emigrację. Bardzo podobała mu się moja uwaga, że nasze pokolenie rosło bez dziadków, którzy zawsze są przekazicielami tradycji.

*Wtorek, 25 lipca 1995*

Dziwny sen. Pewnie pod wpływem filmu *The Remains of the Day*. Śniło mi się, że Piotr Chelkowski miał psiarnię, a nawet więcej, bo taki zwierzyniec, o którym we śnie myślałam bestiariusium. Była też Goga w kapeluszu, czego ona nigdy nie nosi. Uprzytomniłam sobie, że ona może wiedzieć, że zrobiłam przyjęcie i jej nie zaprosiłam. To z wyrzutów sumienia ten sen. A przecież i tak nie zaprosiłabym ich, bo przyjęcie było dla Julity, a oni się przecież nie znają.

Cały dzień przesiedziałam przy komputerze nanosząc poprawki i zmiany do rozdziału o Wołoszynie. Bardzo żmudna praca, szczególnie te wszystkie znaki, zmiany czcionki, tłumaczenie na angielski. Ale też musiałam sięgać do tekstów, sprawdzać fakty itp.

Rano przeczytałam recenzję tej najnowszej książki Camusa *Pierwszy człowiek*, o której rozmawiałymy z Marlene niedawno.

*Środa, 26 lipca 1995*

Przed południem dwa listy do Marka Klecla/Klecela i do prof. Janiny Kulczyckiej-Saloni. Dzwoniła do mnie z Warszawy Alicja Filochowska, żeby złożyć mi życzenia. Przedrukowała w „Pani” wiersz, zdaje się, że *lękę*.

Poszliśmy do Goethe House, bo muszę zlokalizować cytaty i dane bibliograficzne z Goethego i akurat tam przerwa wakacyjna. Około czwartej pojechałam do Mamy już na noc, aby nazajutrz odprowadzić ją do autobusu. Wieczór przeszedł względnie poprawnie, ale nie obeszło się bez konfliktu.

Czytam wystąpienia i przemówienia Robertsona Daviesa. Jego wypowiedzi na temat kobiet i edukacji kobiet dziś poczytane być mogą nawet za dyskryminację. Choć z drugiej strony podpisuje się on pod koncepcją wychowania i kształcenia dla kobiet, bo tamto było organizowane z punktu widzenia interesów mężczyzn. A więc jakby tu zbliżał się do koncepcji *women's studies*, a jednak nie uznaje równości, uważa, że kobiety mają inne cele, zainteresowania itp.

*Poniedziałek, 7 sierpnia 1995*

Wklejony nekrolog Jerzego Toeplitza z *New York Times'a*: *Jerzy Toeplitz, A Film-School Founder*, 85. Autor Eric Pace, autor cytuje brytyjskie dzienniki „*The Guardian*” i „*The Independent*”, wspomina przedwojenne doświadczenia w Wielkiej Brytanii, wyrzucenie z Polski po 1968 i pracę w Australii. Zdjęcie z 1969 r.

*Wtorek, 16 sierpnia 1995*

Z naszym młodszym pokoleniem poszliśmy na *Arkadię* Toma Stopparda, która już od pewnego czasu szła na scenie Beaumont Theater w Lincoln Center. Akcja sztuki odbywa się w dwóch planach czasowych, w wieku XIX i obecnie. Dwoje współczesnych badaczy konkuruje ze sobą w odszyfrowywaniu skandalicznych zajęć, które miały miejsce w 1809 roku w pewnej posiadłości arystokratycznej.

Balam się odrobinę, że Paweł i Colleen będą zniechęceni „literackością” tej sztuki, ale wręcz odwrotnie, bardzo im się podobała. Oni w lot chwyтали dialog, który wypowiedany w tzw. *British English* umykał mi w znacznym stopniu. Ja chwytałam za to wszystkie literacko-kulturowo-trendowe aluzje, które do nich niekoniecznie docierały. Może to jest najlepsza ilustracja ingardenowskich warstw dzieła literackiego. Zresztą tekst był bardzo gęsty, przypuszczam, że i urodzeni Amerykanie niezupełnie wszystko chwyтали. I tu kłania się Eliot, który twierdził, że nie trzeba znów tak wszystkiego rozumieć.

Sala wypełniona do ostatniego miejsca wybucha raz po raz śmiechem. Sztuka zdaje się mieć w sobie wszystko: postmodernizm i feminizm, naukowo-detektywistyczny dreszcz i tę siostrzyczkę, której Szekspir prawdopodobnie nie miał, a która byłaby genialna, gdyby ją miał. Bardzo dużo aluzji do Byrona, które nawet dla wykształconego Amerykanina są mało przejrzyste. Z tym małym rozoznaniem w twórczości Byrona stykają się wszyscy, którzy uczą tu literatury rosyjskiej i polskiej. Twierdzenie, że Lermontow to rosyjski, a Słowacki to polski Byron wywołuje umiarkowany rezonans wśród studentów. Ciekawe, czy wyjście tej sztuki poza teatr ściśle repertuarowy, jakim niewątpliwie jest Beaumont, przyczyni się do rezurekcji Byrona w amerykańskiej świadomości kulturowej?

*Piątek, 18 sierpnia 1995*

Wybraliśmy się do Omeljaniuków na godzinę-dwie, a spędziliśmy prawie sześć. Już dawno nie prowadziliśmy tak spontanicznych rozmów o wszystkim i o niczym. W dużej mierze zarówno stymulatorem, jak i katalizatorem był ich dwudziestodwuletni syn Robert, który chce być pisarzem powieści naukowych.

Ale mówiąc o naszym pobycie w Polsce Zdzisław powiedział zapewne bardzo trafną rzecz: podobało wam się, bo przyjechaliście z tarczą, a nie na tarczy.

Pamięć, pamięć o tych, co na tarczy leżą i nie mogą wrócić, jest najważniejsza.

*Sobota, 19 sierpnia 1995*

Tuż przed szóstą zadzwoniła Marlene z propozycją, abyśmy poszli na dach Metropolitan Muzeum, gdzie jest obecnie taras z rzeźbami, pięknym widokiem na cały Manhattan. Ale gotowałam właśnie obiad i nasza kontrpropozycja

była, abyśmy zjedli obiad u nas i poszli nad rzekę. Pójście nad rzekę jest dla nas wciąż największą atrakcją. Fakt, że jest tak blisko, tuż obok, że jest prawdziwa i pływają po niej barki ciągnięte, pchane i holowane z boku, a także jachty, motorówki, żaglówki itp. Z miejsca, gdzie spacerujemy lub siedzimy, widać most na 59. ulicy i Triboro most na 116. ulicy. Na tym krótkim odcinku, który jest trasą naszego spaceru, mijamy domy, które są jednym z najlepszych adresów na tej wyspie, potem park im. Carla Schurza, a wreszcie rezydencję burmistrza. Wewnątrz byłam chyba ze trzy razy, dwa razy kiedy był tam Koch i raz za Dinkinsa. Raz przyjęcie odbywało się w ciągu dnia w ogrodzie i wówczas po raz pierwszy zobaczyłam tę rzekę inaczej niż z samochodu. Wciąż mnie to oszałamia.

*Środa, 23 sierpnia 1995*

W 1984 roku chyba poznałam Rafała Grupińskiego i jego ówczesną żonę – Annę. Spotkaliśmy się u Roberta Kirklanda, a potem on (R.Gr.) przyszedł na mój wieczór w Fundacji Kościuszkowskiej.

W wywiadzie z nim w „Tygodniku Powszechnym” czytam:

„To, co najistotniejsze dla nas to literacki personalizm – osobisty ton, umiejętność przekazania autentycznych odczuć.

[...] że pisarz powinien mieć coś ważnego do przekazania czytelnikowi, że kluczem do sztuki jest nie tyle artyzm, ile wartość poznawcza. Młodzi twórcy starają się dystansować od społecznej roli literata”.

Przypomniała mi się moja scysja z Maciejem Cisłą. Powiedział on coś w tym stylu, że literat powinien...

Na co ja: „ale ja nie jestem literatem”.

*Czwartek, 24 sierpnia 1995*

Wczoraj była u mnie Anna Bernat i zrobiła ze mną wywiad. Potem jadłyśmy lunch. Było to miłe spotkanie, chociaż może trochę chaotyczne, bo wszystko naraz. Wszystkie funkcje.

Ale potem zadzwoniła pani Wala i ze względu na te wszystkie rozmowy nagle bardzo się zdenerwowałam. Stałam przy zlewku myjąc naczynia i nagle poczułam jakby coś pękło we mnie. Fela potem mówiła, że to może atak paniki, ale było to zanedo fizyczne. Do końca dnia czułam się bardzo źle. Ale wieczorem napisałam jeszcze coś niecoś, głównie listy.

Za dużo presji, napięcia. Trochę byłam też już wieczorem podniecona tą interpretacją „feministyczną” I.M. To dla mnie zanedo ingerencyjne i za mało uczone. Natrętny psychologizm, który udaje, że jest krytyką wysoce formalną.

Zastanawiałam się nad dalszym ciągiem mojego listu do niej, w którym prosiłam, aby nie łączyła erotyzmu z macierzyństwem, i przyszło mi do głowy, że jeżeli nie piszę o macierzyństwie, to głównie dlatego, że nie mam w tej dziedzinie potrzeby kompensacji, nie jest to moją raną. A jeżeli nawet jakieś rany tam są, to wymagają osłonięcia, a nie ekspozycji.

Trzeba uważać, aby z rozdarcia nie robić rozdzierania... szat.

*Niedziela, 17 września 1995*

Niedziela zaczęła się deszczowo. Mieliśmy jechać na cmentarz i po siedmiu tygodniach suszy to był właśnie ten dzień deszczowy. Może zresztą w pewnym sensie dobrze się stało, bo Włodek już od piątku bardzo źle się czuł, a musiałby ten cały dzień spędzić w samochodzie. Kręciliśmy się więc oboje po mieszkaniu, on więcej leżał z bolącym bokiem i kręgosłupem, ja trochę przy komputerze, aż w końcu o czwartej udało mi się namówić go, by zasnął. Siedzę więc cicho przy biurku w swoim kantorku i nagle dostrzegam końcem oka jakąś zmianę. W pierwszej chwili nie wiem nawet co, wyglądam przez okno i widzę, jak plama słoneczna wyskakuje nagle spoza domu i opiera się na ścianie kamieniczki po przeciwległej stronie ulicy, aby po chwili rozlać się na cały mój malowany widok z okna, na wszystkie dachy, ściany, załomy murów i wieżowca i z każdego wyciągnąć ten jedyny niepowtarzalny odcień beżu, bieli, burości, szarości i nieco już przeredzonej, ale odświeżonej po deszczu zieleni.

W „Tygodniku Powszechnym” nowy świetny artykuł Miłosza o poezji Świrszczyńskiej i o wielu sprawach, o których on tylko może napisać.

*Poniedziałek, 18 września 1995*

Przynieść magnetofon na zajęcia.

Ciągle utyskiwanie, że mojemu nieszczęściu ktoś jest winny, to niedojrzałość. Zarówno człowiek, społeczeństwo czy naród razem są za to odpowiedzialne. Ale jeżeli ludziom wpajano pogląd na prawo do pracy rozumiane jako moje prawo, to znaczyłoby, że istnieje czyjś obowiązek dania mi tej pracy. Niestety nikt nie ma takiego obowiązku.

Nieumiejętność zaakceptowania tego, że tu się nie jest znanym człowiekiem, że trzeba zaczynać od początku, że jest się strąconym w prawdziwe piekło demokracji, tzn. wszyscy są równi i znów trzeba się „wybić”.

A co będzie po śmierci, tam też nikt nie wie, że taki i taka miała jakieś książki opublikowane i obracali się w dobrym warszawskim towarzystwie.

*Niedziela, 24 września 1995*

Dwa wiersze *Historia* i *Contemporary Polish Poetry* wysłane do „Tygodnika Powszechnego” do Bronisława Mamonia. Nigdy nie otrzymałam odpowiedzi.

*Środa 4 października 1995*

List do Beaty i Jerzego Ficowskich:

Drodzy Państwo,

Drogi Panie Jerzy,

zapewne ma mi Pan za złe, że nie odezwałam się po powrocie. Na swoje usprawiedliwienia mam tylko to, że nie mogę się wygrzebać ze swoich obowiązków. Po przyjeździe zrobiłam sobie listę spraw do załatwienia – zarobkowych, naukowych, obiecanych, itd. I dosłownie dwa dni przed rozpoczęciem

roku akademickiego wykreśliłam ostatni punkt. Nie muszę już mówić, że rok akademicki przynosi nowe terminy, stesy, frustracje i pewnie bym wciąż do Pana nie napisała, gdyby nie ten artykuł, który przysłała mi Elżunia Wittlin Lipton. Przeczytałam go pobieżnie, bo nie wszystkie te sprawy są dla mnie zrozumiałe. Widzę jednak, że ta autorka bardzo coś niezyczliwie się do Pana ustosunkowuje. Nie wiem, co leży u podłoża, kto był jej źródłem i czy Pan zainteresowany jest wyjaśnieniem. Ale przesyłam Panu ten tekst, bo może Pan, albo ktoś z Pana przyjaciół ze środowiska Cyganów zechce na ten artykuł odpowiedzieć. Ja już od pewnego czasu przestałam prenumerować „The New Yorkera”, to jest od czasu zmiany redakcji. Było to – i wciąż zapewne jest – bardzo liczące się pismo w Stanach, prenumerowane przez tzw. elitę.

Z innych wiadomości, to może Panu znany jest fakt, że Lucjan Dobroszycki jest bardzo chory. Nie wiem dokładnie, co, bo nie widziałam Feli już od wielu miesięcy, a ostatnio starałam się do Nich dodzwonić, ale pewnie Fela w szpitalu spędza większość dnia i jeszcze nie udało mi się z Nią skontaktować.

Po przyjeździe z Polski nie udało nam się wyjechać z miasta nawet na dwa-trzy dni, aby odpocząć. Mąż nie mógł się zwolnić, bo i tak nie byli szczęśliwi, że wyjechał na całe trzy tygodnie, a ja starałam się jak najwięcej nadrobić różnych zaległości. Między innymi pracuję nad swoją „rzymską” książką. Zaangażowałam prywatnego redaktora, który sugeruje językowe i redaktorskie poprawki, a ja potem siedzę i realizuję. Bardzo to trudne, bo całą pracę robiłam już tyle lat temu, trzeba rozkładać cały warsztat, papiery, notatki, itp. A potem albo on, albo ja mamy jakiś kryzys, jakąś płatną pracę (robiłam coś dla sądów, bo w lecie przecież nie zarabiam) i znów trzeba tamte papiery pakować, inne rozkładać itp.

Od kilku miesięcy pracuję także nad zorganizowaniem konferencji poświęconej Wittlinowi w związku z Jego rocznicami. Będzie to mój bezinteresowny czyn, podobnie zresztą jak symposium Schulzowskie trzy lata temu. Tylko tutaj wszystko robię sama. Muszę przede wszystkim zdobyć ok. 11 tys. dolarów, aby sprowadzić i utrzymać przynajmniej dwa trzy dni uczestników konferencji. Walczę więc o fundusze jak lwica dzika, tj. piszę dziesiątki listów, referatów, podań, budżetów itp.

Naturalnie na każde takie podanie jest termin, wszystko trzeba składać w kilku egzemplarzach, pisać według specyfikacji. Patrz Kościuszko na nas z nieba! mam nadzieję, że nie tylko Kościuszko patrzy. A może nikt.

Tego lata zjawiała się w Nowym Jorku Eliza Verdiani. Po tylu latach (dwudziestu pięciu) spotkanie nasze było bardzo emocjonalne. Ja byłam Jej wówczas w 1970 roku bardzo wdzięczna za zaproszenie nas na parę dni do Florencji, bo nasza egzystencja w Rzymie, w oczekiwaniu na wizę, była bardzo nędzna, a wizyta u Nich była wycieczką w normalność, kiedy myśleliśmy, że normalność nie istnieje. Okazuje się, że Ona po śmierci męża dość ciężko to wszystko znosiła. Teraz wydaje się w dobrej formie. I poznałyśmy się bez problemu.

O Pana pytaniu pamiętam, mam je na biurku (to pytanie o antykwariat), ale nie natknęłam się na nikogo, kto może udzielić mi odpowiedzi. Ktoś mi obiecał, ale jeszcze czekam.

Serdeczne dzięki za obiad w Konstancinie. Bardzo ucieszyłam się z naszego spotkania. Moi towarzysze również. Mąż kłania się, ja też najniżej.

Adres New Yorkera: New Yorker Magazine, 20 West 43 Street, New York, N.Y. 10036.

*Wtorek, 17 października 1995*

Wieżowiec, który budują na 83. i Pierwszej Avenue, wznosi się nadszpiewanie szybko. Nie żal mi tych dwóch nieciekawych budynków z lat chyba sześćdziesiątych, które zasłoni, ale tam z tyłu jest jeden starszy z takimi jakimiś basztami, nieregularnościami i tego będzie mi żal.

Wczoraj podczas mojej godziny z Martą, która w czasie mojego dyżuru urządza sobie regularną lekcję zamiast środy, w którą nie przychodzi, pojawiło się w tekście słowo „obrabiarka” i z tym słowem stanął mi przed oczyma cały dramat życia Ojca. Ten szalony wysiłek jego matki, aby skończył szkołę (rodzina radziła jej posłać go do sklepu), ta duma, że miał zawód technika, nie tak znów spotykany wśród Żydów jego klasy i pokolenia. I potem te wszystkie wydarzenia, które zbijały go z nóg. Odbierały to, w czego budowanie włożył tak wiele nadziei. Niezależność, godność, godna starość.

Gdyby nie to, że przyplątuje się tu sprawa ludzkiego losu, ludzkiej kondycji, niezależnie działającej od losów związanym z politycznymi przyczynami jego nieszczęść (politycznymi, choć z polityką nie miał nic wspólnego) serce się rozrywa. I cała ironia losu, że w Polsce może nie miałby takich warunków. Ale może też mając życie spokojne, zakorzenione, może te wszystkie inne sprawy nie przebiegałyby tak dramatycznie.

*Piątek, 27 października 1995*

Wczoraj Włodek natrafił na film *Fiddler on the Roof* (*Skrzypek na dachu*), a ponieważ byłam skonana po wizycie najpierw u Ojca, potem u Mamy, postanowiłam to obejrzeć i w ten sposób odpocząć. Myślałam nawet, że w pewnej chwili wyłączymy, ale film bardziej mną poruszył niż poprzednio.

Wszystko jakoś przeżywałam na bardziej osobistym planie, nie jako folklor.

A już sprawa wyjazdu, wyrzucenia... Nawet tu analogie.

Kiedy Tewje mówi policjantowi: „zejdź z mojej ziemi, to jeszcze jest moja ziemia”, przypomniało mi się, jak podczas czekania w Pałacu Mostowskich usłyszałam jakąś kobietę mówiącą: „Proszę mnie tak nie traktować. Jeszcze jestem obywatelką polską”. A w każdym razie coś w tym duchu.

Warto byłoby sporządzić antologię wyjazdową, zgromadzić wszystkie opowiadania i rozdziały ze scenami wyjazdu. Tym boleśniejszy naturalnie szok, im bardziej człowiek czuje się zżyty z krajem i społeczeństwem.

Im bardziej czuje się nie Żydem, a tylko „żydowskiego pochodzenia”; „ja jestem tylko .....więc dlaczego ja?”

I zresztą z punktu widzenia judaizmu, nie byliśmy prawdziwymi Żydami. Nie przestrzegaliśmy żadnych zasad.

Pogrom, nawet kontrolowany, ma za zadanie naruszenie poczucia bezpieczeństwa, które raz naruszone nigdy się nie scala.

Jeszcze widać ostatnią basztę budynku, który chyba już dzisiaj zasłoni budowa. Dzień jest piękny, światło odbija się inaczej od każdej powierzchni. Na dachach duży ruch, ludzie coś tam budują, wykańczają, poprawiają.

*Wtorek, 21 listopada 1995*

Cały obóz, który uważa się za „oświecony”, przejechał się w tych wyborach. Jestem równie rozczarowana, ale bardzo daleka od ferowania wyroków, że wyborcy są głupszy lub mają amnezję. Wszystkim wydawało się, że powtórzy się układ Wałęsa vs. Tymiński. Ale dlaczego? Dlaczego zawczasu nie pomyśleli, że wyborca przejrzy tę grę. Czemu nie zjednoczyli sił i nie stworzyli programu. Każdy był zajęty swoją kandydaturą i propagowaniem tejże. A przecież wiadomo, że w każdym politycznym obozie najmądrzejsza, najsilniejsza powinna być szara eminenca. Kościołowi wydawało się, że jeżeli w ostatnich pięciu dniach poprze Wałęsę, to to rozwiąże sytuację. Tymczasem ludzie słuchali kościoła bardziej, kiedy był on w opozycji. Teraz jest u władzy, lub ma większą władzę, mówi ludziom, co mają robić, gdy ludzie prawdopodobnie nie tego oczekują.

Ponadto w kraju, gdzie nie ma wyraźnie zarysowanych partii i ich programów, musi być wyrażenie zarysowany program.

A ludzie naturalnie tęsknią do starych kłopotów, nie nowych.

Ciekawe, że nawet antysemickie łatki nie zaszkodziły Kwaśniewskiemu.

Najciekawsze, czy nastąpią jakieś poważne zmiany.

*Poniedziałek, 27 listopada 1995*

Sen: przełom starego i nowego, może pod wpływem mego myślenia o wierszu, który analizuję.

W chacie za miastem w balii kąpie się Mama, ale też jakaś kobieta jakby z ubiegłego wieku, jakby siostra, ale też jakaś postać z westernu. Mam ją zostawić ijechać z Colleen i Pawłem do miasta, ale chociaż myślę, że ta osoba, teraz już Mama, da sobie radę, to jednak w ostatniej chwili jawi mi się proste rozwiązanie – zostanę. Colleen i Paweł odchodzą, odjeżdżają. Po chwili jestem w samochodzie Pawła i samochód ten rusza nie wiem dokąd i nie umiem go prowadzić, jedzie pod prąd, w ostatniej chwili zakręca na właściwą stronę rozwidlenia drogi, nie było tam, lub nie widziałam, gdzie są hamulce.

Rano dzwoni Mama, rozmawiamy o Si'u, o Hannah Arendt i Heideggerze. Artykuł ten, co był w „New York Timesie”, teraz w „Przeglądzie” i o artykule też z „NYT” o Kwaśniewskim w „Przeglądzie”. Przy każdym z tych tematów dochodzi do konfrontacji. Ja robię jakąś uwagę, Mama odczytuje tę uwagę jako agresję i odpowiada obronnie lub agresywnie. Podczas rozmowy z Mamą przychodzi mi do głowy porównanie, że ten romans powtórny Arendt z Heideggerem to tak jak układ Stalina z Hitlerem. Na innym planie, ale...

*Poniedziałek, 18 grudnia 1995*

Spotkanie świąteczne w „Nowym Dzienniku”, a uprzednio, o godzinie 11, spotkanie z Katri Skala w Manhattan Theater Club w sprawie wieczoru poświęconego Wisławie Szymborskiej, który mam zaplanować i poprowadzić.

*Wtorek, 19 grudnia 1995*

Rozmawiam z Dodzikiem Waksmanem. Mówi mi, że Bolek był w Polsce ze swoją żoną. Dodzik nie może się na to zdobyć. W 1985 roku prosił, żeby pozwolili mu pojechać zobaczyć grób ojca, i nie pozwolili mu.